№ 4. Warszawa, dnia 25 (13) Stycznia 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.



O ubiorach.

20 Stycznia 1896 roku.

Z powodu noworocznych kolend, upowszechnionych w Paryżu, magazyny jubilerskie wystawiły mnóstwo nowości. Zostawiwszy na boku perły i dyamenty, nie dla wszystkich dostępne, zatrzymamy się nad skromniejszymi przedmiotami.

Moda przyjęła ciasne naszyjniki, zwane *colier de chien*. Ze względu na fantastyczny, a więc przemijający charakter tej obróżki, widzimy ją najczęściej ze srebra złoconego w ogniu, nasadzoną turkusami, ametystami, szmaragdami lub rubinami, to jest imitacyą onych drogich kamieni.

Widzimy również podobne bransoletki i dyademy do wpięcia wśród włosów, szpilki i różne ozdoby do kapeluszy, klamerki, brosze i t. p. Wiele z nich ze srebra oksydowanego, nasadzone zawsze kamieniami.

Zapiszmy tu jeszcze obróżki z czarnego aksamitu, przedzielane w odstępach rzędem drobnych kamyków. Naszyjniki z pereł czy to prawdziwych, czy naśladowanych, mają także formę obróżek, i składają się z pięciu lub sześciu sznurków; przedzielanych w drabinkę,—do prawdziwych pereł drabinka składa się z rzędu brylantów; do naśladowanych, sztras zastępuje dyamenty.

Z innych biżuteryi uważaliśmy złote grzebienie, wysadzane kamieniami do podpinania włosów.

Broszki emaliowane, najmodniejsze w formie piesków, kotków, motyli i t. p.

Przejdźmy teraz do sukien. Karnawał paryzki od lat kilku mija bardzo spokojnie; więcej się bawią w Nicei, w Cannes, w Algerze i innych zimowych stacyach, nad brzegiem morza Śródziemnego. Magazyny paryzkie wyprawiają tam różne balowe i wieczorowe stroje. Nim przystąpimy do szczegółów, zaznaczmy ogólny ich charakter.

Tak dla panien, jak dla młodych mężatek, przyjęte najwięcej suknie z gazy lub jedwabnego muszlinu; w kolorach: śmietankowym, blado-różowym, paliowym, blado-zielonym *vert du Nil* i lilla różowym *manne*, który przy świetle bardzo ładnie wygląda. Muszlin jedwabny widzimy najczęściej w drobne zakładki, przytwierdzone na maszynie. U dołu spódnicy idzie rusza przepinana kwiatkami. Od stanu spadają na dół girlandy z kwiatów, dłuższe i krótsze na przemian. Takież girlandy otaczają stanik na wykroju, niekiedy znów przechodzą od ramion do paska, w rodzaju szelek.

Spódniczka dotyka ledwie ziemi. Wykrój stanika, zazwyczaj okrągły, zachodzi trochę na ramiona. Rękawy mocno nabufowane. Nowość tegoroczną stanowi długi szpiczasty bawet; takiż sam kończy plecy. Stanik sznurowany zazwyczaj w tyle na plecionkę jedwabną.

Kwiaty służą wyłącznie do sukien balowych, na pomniejsze wieczory upinają kokardy ze wstążki atłasowej, z końcami wystrzępionemi w frendzelkę. Kokardy te dają na ramionach i rzędem na przodzie stanika. W górze przypięta największa, potem zmiejszają się stopniowo i ciągną do końca bawetu. Dwie szarfy odpowiednie, spadają od boków stanika aż do dołu spódnicy.

Widzimy także u innych sukien, poniżej bawetu draperyę ze wstążki, ułożoną płasko: w tyle upięta wielka kokarda z krótkimi wystrzępionymi końcami.

Dajemy teraz szczegółowy opis kilku balowych i wieczorowych sukien, magazynu *Trois quartiers*, przygotowanych do Nicei.

Pierwsza z białego muszlinu jedwabnego w odcieniu śmietankowym. U dołu spódnicy nagarnirowana rzęsista rusza. W około tej ruszy okręcona wązka girlanda, z luźnych listków różowej chryzantemy, przyczepionych do wąziuchnej niewidzialnej wstążeczki. Takież same rusze idą z obu stron spódniczki, aż do ziemi. Stanik na wykroju przybrany odpowiednio. Rękawy bufiaste, przepięte przez środek i otoczone ruszą.

Druga suknia z materyi *poult de soie*, srebrno-popielatej. Spódnica do ziemi, gładka z przodu, dalej układana w głębokie rury. Z obu stron od boków do przodu idzie girlanda z róż i liści, na łokieć od stanu przytwierdzona kokarda różowa z wystrzępionymi końcami. Stanik do tego wycięty, z aksamitu, w popielatym, ciemniejszym od sukni odcieniu; przód całkiem otwarty: w górze, przez plecy i ramiona, przechodzi girlanda z róż, otaczająca otwór stanika, pod spód dany plastron z wolancików koronki brukselskiej, naszytych jeden na drugim, podwleczonych różowo. Rękawy krótkie, balonowe z materyi *poult de soie*; opasane różową wstrążką, przepięte takiemiż kokardami.

Trzecia suknia z muszlinu jedwabnego w kolorze *vert du Nil*, w zamocowane pliski. Stanik wycięty czworograniasto z długim bawetem. Przez ramiona i przody idzie girlanda z liści zielonych atłasowych, takaż girlanda znacznie szersza, ciągnie się przez lewy bok spódnicy aż do ziemi. Rękawy podpięte bukietem z liści.

Czwarta suknia pellinowa, w szerokie pasy czarne atlasowe na tle białem. Stanik wycięty czarny atłasowy z małą przyfałdowaną baskiną, rozchodzącą się z przodu. Pod to idzie plastron z materyi lilla różowawej (*mauve*). Na piersiach takaż wielka kokarda w formie motyla, przepięta klamrą z ametystami. Rękawy do łokcia, balonowe z pellinu, pasy idą ukośno, między jednym a drugim haftowane bukieciki fijołków.

Co do sukien wizytowych i na proszone obiady, widzieliśmy bardzo piękne w zakładzie krawieckim pani Elizy Petit (Mery). Uderzyła nas w nich ta nowość, że u wielu przód spódnicy całkiem

odmienny; u innych słupy narysowane po obu stronach. Dajemy tu ich opis.

Suknia wizytowa, w formie *princesse*, nie odcinana w stanie, z cienkiego sukienka, w kolorze heliotropowym. Spódnica trochę powłóczysta bez garnirunku, przód z białego sukienka, szeroki na metr, u dołu naszyty w deseń czarnym jedwabnym sutaszem. Po bokach spódnicy, w miejscu gdzie się schodzą dwa kolory, idzie pas bobrowego futerka, szeroki na dwa cale. Stanik cokolwiek otwarty na plastronie białym, sukiennym, przytwierdzony z każdej strony trzema wielkimi guzikami z konchy. Kołnierz do tego bobrowy, po bokach rozcięty, w tyle podniesiony w górę— tworzy wyłogi, zachodzące do połowy stanika. Rękawy ogromne, z jednej sztuki, zcięte od łokcia do ręki, zakończone koronką namarszczoną.

Druga suknia także wizytowa, z zimowego kreponu, tło jasno-orzechowe, na tem przechodzą brązowe paski w odstępach, a na nich rzucany deseń z gałązek brązowych, przerabianych jedwabiem. Przód spódnicy szeroki ledwie na pół łokcia z aksamitu brązowego. Stanik aksamitny marszczony, przez przody i plecy przechodzą szelki z kreponu, obciśnięte szerokim pasem, spiętym na cztery wielkie złote guziki, po dwa na każdej stronie. Rękawy aksamitne, ścięte od łokcia do ręki. Na ramionach szerokie podwójne epolety z białego sukienka, naszyte z brzegu czarnym sutaszem w deseń. Te epolety, zwężone z przodu, ciągną się do paska, z pod którego wybiega biała sukienna baskina, otwarta na przodzie, dochodząca tylko do boków. Rękawy szerokie zakończone u ręki odwiniętym białym mankietem.

Trzecia suknia na proszony obiad, aksamitnaczarna, powłóczysta zaledwie na ćwierć łokcia. Po bokach spódnicy idą dwa słupy z materyi *pompadour*, na tle białem w deseń złotego koloru. Te słupy wązkie u stanu, rozszerzają się u ziemi przeszło na pół łokcia; od strony zewnętrznej, upięta u dołu wielka kokarda ze wstążki atłasowej w kolorze złotym. Stanik otwarty na parę cali, pod spód idzie plastron ze złotawego atłasu. Pokrywa stanik wielki kołnierz z koronki weneckiej, na plecach wcięty wręb, z przodu otwarty, spadający w chusteczkę. Końce jej dochodzą do słupów. Otacza stanik pasek wązki, atłasowy, spięty na dwie kokardy, w miejscu gdzie końce kołnierza łączą się ze słupami na spódnicy. Rękawy bufiaste do łokcia.

W układzie włosów wielka dziś panuje rozmaitość, zostawiono tu szerokie pole fantazyi. Układ to bardzo prosty, wymaga jednak biegłej ręki, by nie wpadł w zaniedbanie. Włosy puszczone są lekko, ale tylko na pozór, pod spodem silnie przytwierdzone do zaplecionych promieni, skręconych na szpilkę. Dają się jeszcze widzieć fryzurki, lekko natapirowane nad czołem, ale pokrywające je ledwie do połowy. Paryżanki rozstać się nie mogą z tą fryzurką; przystaje ona wybornie do toczków i kapotek. Widzimy również włosy podniesione nad czołem w gruby rulon. Z pod tego wybiegają po bokach drobne loczki, wijące się na skroni.

Często także widzimy włosy uczesane *en bandeaux* falujące naturalnie, albo też sztucznie, za pomocą rurek rozpalonych. Wszystkie te rodzaje w tem zbliżone do siebie, że przykrywają ucho zupełnie albo przynajmniej do połowy. Włosy na środku głowy układają w pukle, mniej lub więcej naprzód wysunięte. Pukle te do balowego ubrania przypinają złotym grzebieniem, z pomiędzy nich wybiega grzebka marabutowa, w kolorze odpowiednim do sukni, a najczęściej biała. Zapiszmy tu także dwa skrzydełka, odwrócone od siebie, wpięte na środku głowy po nad fryzurką. Widzieliśmy także czarne naszyte dżetem, ślicznie przystrajające główki o jasnych włosach.

Pojawiają się często loczki tapirowane, ułożone na skroniach, jakie noszono powszechnie przed laty pięćdziesięciu.

Seweryna Duchińska.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy.)

Po twarzy Orońskiego przemknęło znów coś na podobieństwo płomienia, Ale odparł z prostotą.

— Dobrze. Będę usiłował pamiętać.

Po chwili zaś dodał:

— Ale wiesz, że miałem pewne wątpliwości przed twemi drzwiami. Dlaczego i kiedy przekształciłaś się na „Adę?"

Ona roześmiała się wesoło, a bujna jej wyobraźnia, zwłaszcza przy natężonych w tej chwili nerwach, zestawiła wnet obrazów parę w mózgu.

— Jakto? — rzekła w odpowiedzi. — Chciałbyś, abym i teraz, jak przy chrzcie, nie założyła protestu, i przytomna, odpowiedzialna, pełnoletnia, zwała się „Adelą?" Beethoven uwiecznił to imię w jakimś sentymentalno posępnym romansie do śpiewu, lecz dobre ono dla bon suchych, Niemek w okularach, a nie dla mnie — mówiła żywo. I zalotnie dodała:

— A czy twoich łask nie zyskuje ta zmiana?

Oroński porwany jej wesołością, uśmiechał się przyjaźnie, i powiódł po niej oczyma od stóp do głów, już z nieukrywanem wcale uwielbieniem.

— „Ada?" — powtórzył, — owszem... mniej pospolicie to brzmi, odpowiednio dla ciebie, ślicznie! — dokończył z ruchem pełnym galanteryi.

Panna Smieńska przymrużyła oczy, potrząsnęła swymi swawolnymi lokami, wielce w duszy zadowolona, i do reszty oprzytomniała z oszołomienia, w jakie po części wprawiał ją niepokój o to, czy korzystne wrażenie sprawiała sama.

Pomiarkowała, że dotąd stoją, pomknęła więc ku otomance, a taburet wskazała Januszowi, który przez roztargnienie ujmował za poręcz zbyt filigranowe dla siebie, bambusowe krzesełko.

Poczem zaczęła prowadzić z nim jedną z tych, na kształt wartkiego potoku niewyczerpanych rozmów, zwykłych między blizkimi sobie ludźmi, którzy wiele o sobie wiedzą, a wszystko bez ogródek dopowiedzieć mogą, i w tej możności „wygadania się" właśnie przyjemność znajdują.

Na wstępie zatem wyznała mu wręcz, że widzi go zupełnie odmiennym niż sądziła, nie wypieszczonym i nie „papierkowym jak dawniej; oczom też wierzyć nie może.

Na co Oroński, z łagodnie poważnym uśmiechem zrobił uwagę, że człowiek, jak inne stworzenia, posiada własność przystosowania się do okoliczności i warunków życia, ale przez to właśnie ulega przeobrażeniom moralnym i fizycznym i może się rozmaicie urabiać.

Następnie ona poczęła mu opowiadać, sięgnąwszy do dawnej epoki, że po „owym wyjeździe mamy" — jak się wyraziła, starannie dobierając delikatnych słów na odmalowanie rzeczy — ojciec zachorował ciężko, oni troje opuszczeni przeszli pod opiekę nauczycielek; starsza, Jadwiga, wkrótce zamąż wyszła, a najstarszy ze wszystkich brat, Wit, „urządził się doskonale, bo wziąwszy prócz swej części sukcesyą po dziadzie, majątek sprzedał, i od paru lat przebywa za granicą, jako „człowiek ucywilizowany" nie mając co robić w kraju. Czas trawił na podróżach i skupowaniu fotografij wszystkich miejsc i osobliwości, z istną „pasyą" do tych zbiorów.

— Rozpacza tylko na myśl, co pocznie, jeżeli opłynie całą kulę ziemską, nim umrze. Doprawdy, chyba w ocean się rzuci! — mówiła Ada. — Bo wyobrażam sobie, co za straszna rzecz dojść niejako do końca świata, nie mieć nic—nic nowego przed sobą!

Oroński słuchał pilnie, wąsy gładząc ręką kształtną, rasową, ale nie nazbyt wypielęgnowaną. A sąd o rzeczy wyrabiał sobie widocznie doraźny, bo chwilami zlekka podnosił, lub ściągał brwi równą pogodną linją zarysowane nad oczyma.

Ponieważ jednak część tych szczegółów znał z tego, co mu się niekiedy obijało o uszy, więc pytania skierował na czasy ostatnie i jej własną osobę.

Tu Ada jeszcze bardziej dała się porwać swej żywości.

Jednym tchem opowiedziała mu, że trzy lata przemęczyła u państwa Zdzisławów, lecz dłużej na wsi wytrzymać nie mogła, bo towarzystwa mało, siostra domem zajęta, dzieci chmara, szwagier mrukliwy. Dalej że bawiła się w „sport nauczycielski" przy siostrzeńcach, gdy innej mieć nie mogli, z powodu chwilowo zachwianych interesów; ale była widać niemądra wówczas, i dziś już w poświęcenia się nie wdaje. Wyswobodziła się, i dowolnie rozporządza sobą teraz.

— Czy liczyć się z kim potrzebuję? Sam powiedz! — zwróciła się wprost do Janusza, ale z głębokiem przekonaniem o słuszności swych dowodzeń.

— Procent od mej sumy zupełnie mi wystarcza; nikomu ciężarem nie jestem — mówiła ciągle. — Zdzisiowie co prawda przyganiają mi; dowodzą, że kieruję się osobistemi tylko upodobaniami, a nie mam zastanowienia; że dobrodziejstwo pożyteczne wyświadczałam, ucząc im dzieci. Zamierzali wydać mnie świetnie zamąż... Ja i małżeństwo! ha! ha!... Jadwinia chciała przyuczać mnie do gospodarstwa postępowego, jakie zaprowadza. Ah, tysiączne dziecińtwa podobne! W końcu pogniewaliśmy się i stosunki prawie zerwane. Lecz zkąd ty dowiedziałeś się o mnie w Warszawie? — zwróciła nagle, jakby chcąc przerwać temat, który ją poruszał.

— Dowiedziałem się od znajomych. A toć oprócz ciebie nie mam tu nikogo z blizkich — odparł Oroński z mimowolnym smutkiem w głosie, co nie uszło uwagi Ady.

Spojrzawszy na niego uważniej, pomyślała sobie: „ja bo tam nie chcę, i nie potrzebuję nikogo," a głośno zagadnęła:

— Ale gdzie mieszkasz? I co robisz stale? Bo nic tego nie wiem.

Oroński uśmiechnął się raźnie i swobodnie, jak człowiek pełen moralnego zadowolenia. I odparł:

— O, nie potrzebuję się obawiać, abym z nudów musiał szukać nurtów oceanu! pracy mam po uszy. Już drugi rok jestem w Mirowie, pod Warszawą, przy zakładach tkackich niejakiego pana Roger.

— Roger, Roger — przerwała Ada. — A! to jakaś Marya Roger uczyła się malować w tej, co i ja szkole. Drobna brunetka, z małemi oczkami, twarzą jakby zamazaną. To może z tych samych? może córka? A czy oni nie z żyd...

Tu krew płomieniem oblała czoło Janusza.

— Pan Roger ma córkę, Maryą, która istotnie maluje — rzekł skwapliwie. Ale jakoś tchu mu zabrakło, zawahał się, i następne słowa dopowiedział zwolna:

— Ale co do jej powierzchowności, choć drobna i nie wybitna, nie uważam jednak, aby była tak ujemną, jak to przedstawiasz, kuzynko.

Ada klasnęła w dłonie.

— „Kuzynko!" A widzisz! już zapomniałeś. Szkoda żem tego wyrazu nie opodatkowała, dopieroż miałabym cukierków i kwiatów!

Oroński spojrzał na nią jak na figlarne dziecko, którego pustota zadziwia, ale w twarzy jego przed chwilą pomięszanej i niejako sposępniałej, błysnęła niekłamana przyjemność. I powiedział:

— Powetuj sobie. Podatek przyjmuję.

Ada w tonie jego odczuła raczej dobroć i wyrozumiałość, niż tę pochopność z jaką go rada była widzieć gotowym biedz na pierwsze jej skinienie.

Odparła też porywczo:

— O, nie, nie! już nie chcę!... Przymawiań się o co bądź nie lubię, i ofiar składanych za „przymówką" nie znoszę! Albo brać coś wstępnym bojem bez ubiegań i pokłonów, albo nic, nic zgoła! nic i nigdy!

Poczem objęła go wzrokiem śmiałym, sondującym, który badał, a który blaskiem więcej wypowiadał niż słowa.

— O! taki absolutyzm królowej! — rzekł tymczasem Oroński.

Lecz w jednej chwili poczuł probierczość jej wejrzenia, zamilkł, i siłę a spokój we wzroku swym skupił.

Tym sposobem odbyło się między niemi pierwsze starcie, które zwycięztwa ani porażki nie dając żadnemu, ostrzegało jednak nakształt sygnału, że walka tu być może i groźna nawet.

Ada wszakże, z właściwą sobie giętkością natury, wnet podjęła przerwaną rozmowę, i poczeła go dopytywać nawzajem o jego przejścia i koleje.

Dowiedziała się zatem, że przy wielkich przędzalniach w Mirowie zajmował stanowisko chemika, i że zaufanie właściciela i wyjątkowe prerogatywy zawdzięczał szczęśliwemu wynalazkowi, w zakresie utrwalania barw przedtem wątpliwych, co pozwoliło mu znacznie przyczynić się do korzystnego rozwoju interesu.

W ostatnich czasach został niemal kierownikiem zakładów, ponieważ pan Roger po śmierci jedynego syna podupadłszy na siłach i energii, musiał się po części od zajęć usunąć i dlatego zaproponował mu współudział, podając warunki świetne a na lat parę kontraktem zabezpieczone.

— Ale jesteś zaprzedanym! — wtrąciła Ada wysłuchawszy go z uwagą.

Oroński zastanowił się, jak gdyby raz pierwszy i dziwnie tą myślą uderzony, ale odparł spokojnie:

— Człowiek bez majątku zanim się dorobi czegoś własnemi dziesięcioma palcami, zawsze musi od kogoś zależeć.

— Więc nie pozostało nic po ojcu?

— Nic zupełnie.

— Prawda! Nawet sobie przypominam, żem coś słyszała o jakichś procesach, czy nieuczciwości opiekunów.

— No tak, rzeczy to na świecie zwykłe. Pod pokrywką uczynności rozgrabili resztki mego mienia — rzekł potrząsając głową.

Poczem zastanowił się chwilę, i nagle porzucając powściągliwość, z jaką dotąd mówił o sobie, żywo zaczął:

— Mimo wszystkiego, ja nie żałuję tak bezwzględnie straty majątku. Kto wie, co byłoby się ze mną stało, i czy byłbym sam go utrzymał? Bo widzisz śmierć mego ojca przypadła w epoce, gdym był niczem, ale już chciałem być czemś, i szczerze, a nie wiedziałem czem. Moje siły moralne i fizyczne przechodziły w bujny i gorący okres mężkości, poglądy życiowe budziły się, energia i ambicya szukała czynu i popisu, a głowa huczała od nowych pojęć i dążeń. Ale to wszystko było niedowarzone, nieświadome, wrzało potrzebując urobienia i kierunku. Mogłem był rzucić się i utonąć w hulaszczem życiu na wzór moich towarzyszów. Wprawdzie i potem, mogłem był stoczyć się w męty społeczne i zginąć tak jak inni, przez nagłe i brutalne zetknięcie z nikczemnością ludzką, ale w tej ciężkiej chwili, wziął mnie w opiekę stryj Witosław, wiesz? ten „filozof życiowy," jak go przezywali. Bo on podobno zdawna czuwał nademną, i tylko z rozmysłu puszczał mię tak przez próbę, a potem wcisnął w dobre karby.

— Wdzięczny mu też jestem za wszystko, szczerze wdzięczny — mówił dalej Oroński z zamyśleniem, które świadczyło o tem jak żywo uprzytomnia sobie minione dzieje. — Miałem tylko do niego żal o to, że mi się kazał wyrzec karyery naukowej, a nakłonił na drogę praktycznej pracy. Ale poczciwiec chciał ustrzedz mnie od wszystkich wad naszego społeczeństwa, a nawet od jego szlachetnych złudzeń i mrzonek.

Ada słuchała wbrew zwyczajowi spokojna, gdzieś zapatrzona, zadumana.

I byłaby słuchała tak jeszcze długo, bo w miarę jak mówił, coraz wyraźniej odczuwała i pewną odrębność tego człowieka od innych, dotąd spotykanych i prawdę w jego słowach. Obejmowało ją jakieś uczucie miłe a nieznane.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODCZYTY.

D-r Julian Ochorowicz: O medyumizmie.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne żywy ruch umysłów, jaki przed dwoma laty, podczas pobytu w Warszawie Eusapii Palladino zapanował w spokojnym zazwyczaj światku naszym. Dyskusye prowadzone wówczas po dziennikach, redakcyach, salonach, a nawet ulicach i bramach, miały zabarwienie namiętne, którego przyczyn po części szukać trzeba w żywości naszego temperamentu wogóle, w części zaś w ważności samej kwestyi, z którą wiążą się istotnie, czy pozornie zagadnienia najgłębiej wszystkich nas obchodzące.

Od tych czasów upłynęło już wody sporo; namiętności przycichły, i całą sprawą, jak zwykle „w kraju, gdzie nie trwa myśl jednej godziny," ludzie zajmować się przestali. Nagle, niby echo ówczesnych gwarów rozeszła się wiadomość, że zdemaskowana przez mędrszych od nas Anglików Eusapia, sromotnie wypędzoną została z Cambridge. Podniósł się znowu alarm w prasie warszawskiej, ale już z jednej strony tylko. To przeciwnicy medyumizmu, którzy w sporach dawniejszych widocznie całego zapasu werwy polemicznej nie wyczerpali, wydobywszy z redakcyjnych tornistrów stare ładunki, opatrzone najczęściej w przybitki z osobistych niechęci, wymierzyli wszystkie strzały swe w nienawistny im „nowy dział zjawisk." Zdawałoby się, że takiego ataku, i tak już na słabych nogach stojący nieprzyjaciel, nie wytrzyma, i uroczyście złożony w mogile przestanie niepokoić raz trzeźwe umysły naszych dziennikarzy.

Ale doktór Ochorowicz to człowiek uparty — jak sam przyznaje. On po tem wszystkiem medyumizmu za pogrzebany uznać nie chce, i występuje z odczytami, które mogą łatwo rozdmuchać znowu przygasłą iskrę ciekawości publicznej.

Jakoż szczelne zapełnienie sali odczytowej dowiodło, że ogół rad znów posłyszeć coś o tej sprawie.

Przez wzgląd zapewne na to, że między publicznością znaleźć się mogą osoby zupełnie z przedmiotem nieobeznane, rozpoczął doktór Ochorowicz od pobieżnej monografii całego tego ruchu, któremu w ostatnich czasach nadano nazwę medyumizmu.

Wstrzymując się na tę chwilę od uwag własnych, postaram się dać czytelnikom dokładne streszczenie słów prelegenta.

Na wszystkich punktach kuli ziemskiej, od pierwszego zdaje się dnia narodzin ludzkości istniała wiara w zjawiska nadnaturalne, cudowne, to jest takie, które z pozoru przynajmniej stoją w sprzeczności z prawami przyrody.

Naukowy wyraz otrzymały te wierzenia po raz pierwszy w roku 1830. W roku tym wyszło w Niemczech dzieło, nad którem z podziwem kiwała głową krytyka ówczesna, zapewniając, że tak osobliwa książka nie była napisaną jeszcze od stworzenia świata. I istotnie musiała się wydawać osobliwością, gdyż wyprzedzając o lat wiele swoją epokę, podawała opisy zjawisk hypnotycznych, magnetycznych, medyumicznych a nawet i takich, których rzeczywistości dotychczasowe badania nad medyumizmem nie stwierdziły. Książka ta napisana przez doktora Kernera nosiła tytuł: „Jasnowidząca z Preworst," i wkrótce po swojem ukazaniu się została przetłómaczoną na język polski przez Wincentego Matuszewskiego. Wzbudziwszy zaciekawienie w publiczności, uwagi świata naukowego na zjawiska owe nie zwróciła.

Wkrótce potem w r. 1848 t. z. cudowność zaniepokoiła Świat Nowy. W Stanach Zjednoczonych, w domu zamieszkanym przez rodzinę Fox złożoną z rodziców i trzech córek, zaczęły dziać się rzeczy nadzwyczajne. Słyszano tam hałasy, pu-

kania, których przyczyny nie podobna było dośledzić. To jednakże nie ulegało wątpliwości, że cuda te miewały miejsce tylko w obecności którejś z panien Fox, przedewszystkiem zaś najmłodszej. Ponieważ pukania odzywały się częstokroć na żądanie, ponieważ drogą tą otrzymywano odpowiedzi na pytania, uznano że tajemnicze te głosy pochodzą od istot inteligentnych, niewidzialnych, jednem słowem: duchów. Do domu Foxów zaczęły zbiegać się tłumy żądne zbadania tajemnicy. Jedni odchodzili z wiarą w duchy, inni z przekonaniem, że Foxowie są oszustami, chcącymi w jakiś sposób łatwowierność ludzką wyzyskać. Wzburzenie rosło. Komisya wyznaczona do zbadania zjawisk nie odkryła nic, coby w sposób naturalny objaśnić je mogło. Wtedy urządzono formalną napaść na Foxów, którzy uniknąwszy szczęśliwie niebezpieczeństwa, przenieśli się w inne strony. Impuls jednakże był dany. Wiara w duchy szerzyła się gwałtownie. W parę lat po pierwszych „objawieniach" złożono kongresowi Stanów Zjednoczonych petycyę, opatrzoną w 15,000 podpisów, z prośbą o wyznaczenie naukowej komisyj, któraby się zajęła zbadaniem cudownych zjawisk. Petycyę, rozumie się, rzucono do kosza, ale ruch spirytystyczny nie słabnąc bynajmniej w Ameryce, zawitał i do Europy. Wiele osób ze starszego pokolenia pamięta dotąd ową manię stolików wirujących, która ogarnęła około roku 1850 inteligentne sfery stałego lądu.

Ruch ten musiał ostatecznie zwrócić uwagę uczonych. Faraday, Chevreuil i inni podjęli zbadanie niektórych objawów. Zmuszeni wbrew chęci własnej do uznania rzeczywistości obserwowanych zjawisk, nie sądzili jednak, aby było pożytecznem dla nauki zapuszczanie się dalsze w te „przepastne krainy." Nie słabnący ani na chwilę ruch spirytystyczny, ogarniający w Ameryce zwłaszcza coraz szersze koła, skłonił w r. 1859, londyńskie Towarzystwo Dyalektyczne, prezesem którego był wówczas znany przyrodnik Huxley do wydelegowania z łona swego komisyj, która podjęła się wyświetlić tę ciemną sprawę. Cieszono się zawczasu, że oszustwa będą zdemaskowane, i obłędowi postawioną zostanie tama.

Jakiż więc był zawód wszystkich trzeźwo myślących ludzi w Anglii, gdy po ośmnastu miesiącach doświadczeń komisya złożona z 33 członków, ludzi naukowych, znanych i cenionych, stwierdziła jednomyślnie rzeczywistość faktów, na podstawie których zbudowali spirytyści swoją doktrynę. Orzeczenie to komisyj nie przekonało nikogo z tych, którzy fakta owe uważali poprostu za niemożliwe, ponieważ w ich wyobrażeniu były one niezgodne z prawami przyrody, na charakter zaś i umysłowość uczestników doświadczeń rzuciło cień poważny.

Ten sam los spotkał i innych uczonych, którzy na własną rękę rozpocząwszy badania, mieli dosyć odwagi, by wyniki ich ogłosić światu. Crookes'a, który eksperymentując przez 4 lata, najpierw ze znanem medyum mężkiem Home'm, później zaś z młodą dziewczyną, Florecyą Cook, doszedł do rezultatów pierwszorzędnych, pomawiano o chorobę umysłową, jakkolwiek genialne prace jego na innych polach (między innemi odkrycie czwartego stanu materyi) przyjmowano z podziwem i entuzyazmem. Zóllnera, który w badaniach swoich posługiwał się głównie głośnem medyum amerykańskiem Slade'm, okrzyczano za szaleńca. I nie mogło być inaczej. Zjawiska obserwowane przez nich występowały zbyt jaskrawo, zbyt odbiegały od tego, co nauka za pewniki uznała, by mogły wydać się czemś innem, jak wytworem chorych mózgów.

Potrzeba było przepaść dzielącą dotychczasowe zdobycze nauki od objawów medyumicznych zapełnić odkryciami z dziedziny hypnotyzmu i magnetyzmu, by po nich już jak po moście dało się przejść na brzeg przeciwny. Badania najrozmaitszych stanów hypnozy wykazały potężny wpływ umysłu na ciało, wpływ nie ograniczający się na nerwach (ślady działania imaginacyjnej wezykatoryi i t. p.), pozwoliły zajrzeć w ukryte głębie duszy ludzkiej, zwróciły uwagę badaczów na jej sferę bezwiedną, doprowadziły ich do tak złożonego objawu jak zdwojenie osobowości. (Zdwojenie nie jest wyrażeniem zupełnie dokładnie malującem rzecz, gdyż u niektórych medyów nietylko dwie lecz kilka osobowości różnych zupełnie pomiędzy sobą, i nie mających nic wspólnego ze zwykłem „ja" hypnotyzowanego występować może kolejno. Zjawiska analogiczne nazywano w wiekach średnich opętaniem).

Poznanie tego objawu rzuciło pewne światło i na dziedzinę medyumizmu, pozwoliło bowiem bez uciekania się do hypotezy współudziału duchów zrozumieć niektóre fakta z jego zakresu.

Na tym punkcie mniej więcej stały rzeczy, gdy w roku 1891 niejaki Chiaja w Neapolu rozpoczął doświadczenia medyumiczne z kobietą z ludu, słynną później Eusapią Palladino. Zaledwo wiadomość o objawach, które na posiedzeniach tych otrzymano, ukazała się w miejscowych dziennikach, wystąpił z zaprzeczeniem ich możliwości profesor Lombroso. Chiaja odpowiedział zaproszeniem profesora na posiedzenie. Lombroso przyjął, i po kilku próbach przyznał, że zjawiska, o których pisał, i mówił Chiaja, istotnie zachodzą. Gdy dziwiono się temu twierdzeniu uczonego, „jestem niewolnikiem faktów" — odpowiadał.

W jakiś czas potem w Medyolanie w liczniejszem już gronie uczonych włoskich, między którymi znajdował się i sławny astronom Schiaparelli, ponowiono próby. Jak wiadomo, z posiedzeń tamtejszych większość zebranych wyniosła także przekonanie o rzeczywistości tych szczególnych i niezrozumiałych objawów. Zanim jeszcze przystąpiono do doświadczeń, jedno z pism medyolańskich pomieściło artykuł opatrzony illustracyami, w którym niejaki Torelli dowodził, że wszystkie produkcye Eusapii są tylko sztuczkami zręcznej szarlatanki. Tłomaczył on nawet szczegółowo, w jaki sposób dokonywa się każdy akt tej komedyi. Pomimo tego ostrzeżenia nie zauważono nic, coby podejrzenia Torellego stwierdziło.

Doktór Ochorowicz przyznaje, że gdy czytał w Warszawie opisy medyolańskich doświadczeń, wszystkie te rzeczy „nie wchodziły mu w głowę." Jednakże po ośmiu posiedzeniach w Rzymie, w których sam uczestniczył, nabrał bezwzględnego przekonania, że objawy te są niezaprzeczenie rzeczywiste, a zarazem, że nie wykraczają po za zakres prawa przyczynowości i prawa zachowania energii, czyli nie są czemś cudownem, nadprzyrodzonem.

W posiedzeniach warszawskich, które nastąpiły po rzymskich, zwrócono, dzięki wystąpieniu pana Br. Reichmana szczególną uwagę na oszustwo, czy pozory oszustwa ze strony medyum.

To oszustwo automatyczne, bezwiedne, jest — jak utrzymuje prelegent — nieodłączną częścią zjawisk medyumicznych, a do uczestników seansu należy zapobiegać mu w ten sposób, by nie mąciło obserwacyi. Najsurowsza kontrola rąk i nóg medyum, niedopuszczanie do oszustwa, oto jest system, którego trzymać się należy. Nie zachowano tych ostrożności w Cambridge, i dlatego zamiast objawów czystych, otrzymano niepewne, a nawet wprost kłamliwe.

Już po niefortunnych posiedzeniach w Cambridge, experymentowali z Eusapią uczeni francuzcy: Sabatier, de Rochas i inni, i otrzymali rezultaty zupełnie zadawalniające.

H. C.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Klemens Junosza.

PRZYSIĘGA PANA SYLWESTRA.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy)

— Przecież jest tyle kwestyj. Z młodą kobietą trzeba było mówić o poezyi, sztuce, miłości.

— Być może, ale mi to na myśl nie przyszło. Teraz otworzyły mi się oczy, teraz widzę, ale w pierwszej chwili, na razie... Namyślałem się, i ogarniała mnie rozpacz, bo ostatecznie, skoro kazano mi bawić damę, to trzeba ją bawić, a kiedy dama życzy sobie rozmowy poważnej i pouczającej, to należy życzenie jej spełnić. Nareszcie wzrok mój padł na ciastka kremowe, leżące na tacy, i przez jakąś niewytłómaczoną assocyacyę dźwięków, przyszła mi na myśl... kremacya. Postanowiłem zacząć rozmowę o paleniu zwłok.

— Także temat!

— Nie zaprzeczy pan, że poważny, zajmował się nim świat uczony nie jednokrotnie.

— Jakże pan zacząłeś? Z jakiego punktu wyszedłeś? Czy wprost od kremu?

— Zacząłem porządnie, od początku; o sposobach grzebania lub niszczenia zwłok u różnych ludów; o grzebaniu, chowaniu w pieczarach, o rzucaniu szczątków ludzkich na pastwę sępów, o balsamowaniu ciał, o mumiach, o paleniu na stosach i tak stopniowo, przechodząc od wieku do wieku, od kraju do kraju, doprowadziłem ją aż do najnowszego (jeżeli wogóle może być na świecie co nowego), sposobu uprzątania szczątków ludzkich, mianowicie do kremacyi zwłok w specyalnie na ten cel urządzonych piecach. Dowodziłem, że rozkład organicznych resztek człowieka, doczesnej jego powłoki, już pozbawionej duszy, nie jest czem innem, tylko powolnem spaleniem się tych szczątków, piec kremacyjny wyręcza niejako naturę, to co ona dokonywa powoli, on działa szybko, na co ona potrzebuje lat, on robi w ciągu dwóch godzin.

— I zajmowała rozmowa panią Bertę?

— Zdawało mi się, że bardzo, albowiem kilkakrotnie poruszyła się na krześle, a oczy jej, te duże, czarne oczy zrobiły się ogromne, i patrzyły na mnie, jak mniemałem, z wielką uwagą i zajęciem. To właśnie stało się dla mnie bodźcem, zachętą do wszechstronnego przedstawienia kwestyi. Stałem się wymownym, opowiadałem jaka to może być pociecha dla żony opłakującej zga-

słego w kwiecie wieku małżonka, mieć w salonie, czy też w buduarze, woreczek jego popiołów, od czasu do czasu spojrzeć na nie, i pomyśleć, że ukochana istota, jest blizko, obok, że możemy ją mieć zawsze przy sobie, nawet w podróży, gdyż to nie cięży. Małżonek żyjący waży od dwustu do dwustu pięćdziesięciu funtów, a jego spopielone szczątki najwyżej dwa. Zresztą nie koniecznie trzeba nosić z sobą całość, można wziąść odrobinkę, szczyptę i umieścić w bransoletce lub medalionie.

— Czy podzielała pańskie zdanie?

— Nie wiem, ale oczy jej robiły się coraz większe, zaczęła uskarżać się na ból głowy, i dała do zrozumienia, że byłoby lepiej, gdyby była pojechała z mężem do Berlina. Nie zaniedbałem nadmienić, że tam właśnie miałaby sposobność zobaczenia pieca kremacyjnego. Zauważyłem, że spogląda na zegar, wstałem więc, ukłoniłem się, i złożywszy życzenia dobrej nocy, zabrałem się do wyjścia. Prosiła, żeby przez całą noc na werandzie paliły się dwie latarnie, żeby brama była zamknięta, psy spuszczone z łańcucha, i żeby stróż czuwał na dziedzińcu do białego dnia. Przyrzekłem, że polecenia te będą wykonane najakuratniej, i że ja także spać się nie położę, lecz przepędzę noc w ogrodzie, aby suma czynników bezpieczeństwa była możliwie największa. Przyjęła to z wdzięcznym uśmiechem, dodawszy, że będzie to z mojej strony poświęcenie prawdziwie rycerskie. Użyła tego wyrazu.

— I rzeczywiście czuwałeś pan przez całą noc?

— Jak najsumienniej, aż do wschodu słońca; nie chciało mi się spać—miałem dość do myślenia. Cieszyło mnie odkrycie, że bawienie dam nie jest tak trudnem zadaniem, jak mi się zdawało; cieszyło spostrzeżenie, że i ja do pewnego stopnia tę sztukę potrafię, a pragnąłem też ułożyć projekt zajmujących dyskusyj na dzień jutrzejszy i następne, do czasu powrotu szanownego małżonka. Pokazuje się panie, że najtrudniej zacząć; najrozmaitsze tematy pchały mi się do głowy—istny tłum pomysłów! Z radości zacząłem śpiewać, a trzeba panu wiedzieć, że pomimo szczupłej korpulencyi i niewielkiego wzrostu, mam piękny, nizki głos basowy. Śpiewałem swego czasu z Niemcami w przyjacielskich kółkach, śpiewałem w chórach, a nawet i solo. Lubię, to i mam ulubione swoje melodye.

— A cóż pan śpiewałeś owej nocy?

— Pieśń grabarzy z „Hamleta,” prześliczny kawałek! Oczywiście w blizkości willi modulowałem głos, aby nie przebudzić pani Berty, ale oddaliwszy się, za ogrodem, na łące pod lasem, śpiewałem pełną piersią, a pieśń rozbrzmiewała po rosie. Dodać należy, że noc była wyjątkowo piękna, księżycowa, drzewa wydawały się jak olbrzymy bajeczne, kąpiące się w potokach łagodnego światła.

— Poeta z pana.

— Biedny człowiek jestem, panie dobrodzieju. Cieszyłem się jak dzieciak, na myśl, że tak pięknie wywiązuję się z zadania, a tymczasem... Opowieść moja dobiega do kresu. Na drugi dzień rolety w willi podniosły się dopiero koło południa, i usłyszałem przypadkowo, jak pokojówka pani Berty mówiła do stróża, że jej chlebodawczyni wstała w jak najgorszym humorze, że jest zła, ma zaczerwienione oczy, i o lada bagatelę wybucha gniewem... Ha, cóż mi tam do tego. Zła czy nie zła, to mi wszystko jedno; ja obowiązek swój pełnię. Pilnuję ją jak oka w głowie, zechce żebym ją bawił, będę bawił; każe sobie towarzyszyć na spacer — pójdę. Do miasteczka nie zrobię ani kroku, żeby być na miejscu, na każde zawołanie. Obowiązek jest obowiązkiem, a skoro się podjąłem, to trzeba spełnić, choćby to nie sprawiało wielkiej przyjemności.

— Oczywiście.

— Około godziny drugiej, pani była już na werendzie; przechodzę tamtędy, kłaniam się—kiwa głową. Bardzo dobrze — idę dalej. Zatrzymuje mnie; jest w usposobieniu kwaskowatem, mówi, że jej się nudzi, że chciałaby co czytać... Czy nie możnaby dostać książek? Trudno, ja mam kilka łacińskich z dawnych czasów, ale pani łaciny nie rozumie. U aptekarza widziałem przed tygodniem bardzo zajmującą broszurę o kwasie karbolowym, wątpię jednak, czy to będzie dość ciekawa lektura, chyba pojadę do Warszawy, i przywiozę co pani każe. Odpowiada, że byłoby to dobrze, lecz obawia się pozostać samą, na opiece stróża i służby, woli żeby czuwał nad jej bezpieczeństwem człowiek inteligentny. I to racya; ale kwestya nudów pozostaje otwartą, proponuję grę w szachy, jako zabawę bardzo zajmującą i umysłową, pokazuje się, że pani Berta nie może rozróżnić laufra od królowej. Cóż robić? Siadać na werendzie i rozmawiać. Tym razem już nie szukam tematu na stole, nie wyprowadzam kremacyi z kremu, ale zaczynam ex-abrupto, o wadliwem urządzeniu szpitali, i o epidemiach, a że niedawno mieliśmy cholerę, więc o niej. Jest to przedmiot interesujący każdego inteligentnego człowieka, a doświadczenie smutne przekonało nas, jak mało przygotowani jesteśmy na przyjęcie nieproszonego gościa, który tak straszny jest dla nieostrożnych i nieprzewidujących. Niech pan dobrodziej sam powie, czy to nie jest kwestya żywotna, interesująca? Dzieła i broszury o niej ludzie pisali.

— Rzeczywiście.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Stuart Merill.

Z Sonetów Wagnerowskich.

WALKYRYE.

Hejahaha! Walkyrye pędzą do Walhali —
Z wichrem ściera się orszak ich na nieba stropie,
Skrząc się, tętnią kopyta rumaków w galopie,
Hejahaha! Eumenid chór po nocy wali.

Ogień, co się na ostrzach lanc ich krwawo pali
Syczy, jak wąż czerwony w piekielnym ukropie,
A pioruny cymbałów w kurzawy potopie,
Brzmią im w takt, niby jęki fantastycznej fali.

Hejahaha! nad księżyc, nad wicher tumanów,
W żelaznym szczęku mieczów i obławnych wrzasków,
Dysze krwawa purpura ich miedzianych kasków.

I naraz echa milkną. W ponurym prologu —
Gniew straszliwego boga — jeźdźca huraganów
Zahuczał w łonie burzy dzikim grzmotem rogu.

Tłóm *A. Lange.*

Byle handel szedł!

Daj Boże aby kiedyś po latach nie nazwano schyłku naszego stulecia epoką profanacyi.

Byłaby to ocena surowa, przykra, dotkliwa bardzo dla tych, którzy się bezwzględnie solidaryzują z dążeniami wieku, którzy je tłumaczą i usprawiedliwiają często wbrew słuszności i prawdzie, ale krzywdzącem a tem mniej potwarczem określenia takiego trudnoby nazwać było w istocie.

Czego bo my nie poniżamy dzisiaj, gdzie nie sięgniemy, na jakie wyżyny nie sprobujemy się wedrzeć, byle tylko tam przylepić naszą reklamę, nasz afisz—prospekt czy humbugh.

Zdumiewające doprawdy jest to wszystko, gdy się bliżej zastanowić przyjdzie.

Kilka razy wspominaliśmy czytelnikom naszym w roku zeszłym o zamierzonej na rok 1900 wystawie Paryzkiej, kilka razy robiliśmy wzmianki o wysiłkach francuskich mózgów dla stworzenia na to wielkie międzynarodowe... święto (dajmy na to) czegoś niewidzianego dotąd—nieznanego—niebywałego.

I o tem także, że tych wszystkich zacieków do tej pory nie uwieńczyło żadne powodzenie, wiedzą czytelniczki nasze, bośmy im opowiadali o przeróżnych chybionych pomysłach, między którymi wystawa dzieci do najniefortunniejszych należała, i ostatecznie jako idea nieudana, pogrzebaną czy zaniechaną została. Były i inne jeszcze propozycye i projekty a każdy zmierzał do tego, aby z niego dał się ukuć ten tak zwany przez francuzów: le grand clou de l'exposition, co przetłumaczyć się daje na angielskie: great attraction; w naszej mowie równaznacznego pojęcia dla objaśnienia mniej świadomego czytelnika wyszukać nie możemy.

Ostatecznie wszystko to są sztuki, sztuczki i sposobiki dla przywabienia cudzoziemców do Paryża—wszystko to osłania się pięknemi słówkami jak urok, sława i przodowanie Francyi w międzynarodowym cywilizacyjnym wyścigu — wszystko mimo, że przesycone merkantylizmem a skarykaturowane blagą cuchnącą zdala dla każdego lepszego nosa, podszywa się pod ideę braterstwa ludów i t. d. i t. d.

Odpuść im to Panie, bo wie świat dobrze co mu o tych wszystkich hasłach trzymać należy. Idzie ciągle jeszcze i teraz o to, aby wystawa miała to swoje coś niebywałego i od jakiegoś już czasu poniewiera się po głowach myśl pewna, która wjechała sobie na porządek dzienny, co do której rozpisują się kwestyonaryusze, zbierają opinje i zdania, gromadzą podpisy i zachęcające przyzwolenia powag z najrozmaitszych sfer i najróżnorodniejszego autoramentu. Tem czemś niebywałem ma być kongres przedstawicieli wszystkich religij.

Ni mniej—ni więcej!

Oczywiście nie było łatwo Francuzom dzisiejszym nawrócić na tę drogę—nie sporo szło kmo-

trom żyjących jeszcze komunardów, twórcom bezwyznaniowego wychowania, i wszystkim razem wziętym reżysserom wielkiego programu profanacyi religijnej, wystąpienie w imieniu tych potrzeb i jakichś imaginowanych w Chrystusowej nauce reform i komplanacyj z innemi religiami i wyznaniami, ale ba!

Na próbkę damy im kilka głosów z tego wielkiego kwestyonaryusza, którym zaagitowano w sferze intelligencyi francuskiej, no i maszeruje ta sprawa naprzód i wydaje się wielu ludziom możebną—ba! konieczną, nieodzowną, i znowu płyną sobie hymny samochwalcze francuskie i znowu dopatrują w tym niezdarnym pomyśle jakichś oznak wielkiej żywotności, jakiegoś przodowania—tego marzonego uroku nakoniec, o który im zawsze i wszędzie chodzi najbardziej. — Trzeba przyznać, że ci ludzie umieją marzyć na jawie, potrafią bredzić jak nikt inny, a nadewszystko że wśród zuchwałych spustoszeń, których tyle dokonali w ostatnich czasach, stracili zupełnie poczucie granicy jakiejś oddzielającej rzeczy możebne od niemożebnych, a nawet przyzwoite od nieprzyzwoitych.

Weźmy kilka dla przykładu głosów—kilka jakichkolwiek z brzegu, bo tu nie ma argumentów lepszych ani gorszych, nie ma dobrej wiary i zdrowego sensu, więc wszystko jedno będzie cokolwiek bądź przytoczymy. A swoją drogą wszystko będzie charakterystyczne, wymowne, zdumiewające prawdziwie.

Zapytany o potrzebę tego międzynarodowego koncylium, Maurycy Pujo, jeden z młodych—autor dzieła, noszącego tytuł: „Sztuka i życie" w tych mniej więcej słowach odpowiada na pytanie za siebie i swoich:

On i jemu podobni odebrali wychowanie religijne. Później oczywiście przyszło im zapomnieć o wszystkiem co wynieśli z pod ojcowskiego dachu, ale to nie przeszkodziło im bynajmniej być ludźmi. Przeszli przez życie coprawda jak obcy swojej społeczności, jak kosmopolici, nawracali ciągle od brzegu do brzegu, a ilekroć dotykali się zagadnień spółczesnych, wszędzie widzieli tylko starcie się instyktów i interesów. Mimo to zawsze czuli w sobie duszę i on przynajmniej wierzy mocno, że ta dusza właśnie jedna nie jest złudzeniem żadnem—że jest ona istotną i oczywistą.

Projekt kongresu wszystkich religij zdaniem p. Pujo przyjąć powinna Francya ze skwapliwością wszelką, ponieważ tu właśnie uwidocznia się dążenia do rozwiązań, do których ludzie zmierzają przez życie całe, ponieważ tą tylko drogą przyjść do nas może zjednoczenie religijne, moralne i społeczne, z których każde stanowi jeden z przejawów tej samej idei jedności—a wszystkie razem mówią do nas o początku i końcu naszego bytu.

Bardzo pięknie! A teraz przejdźmy do drugiej powagi. Jest nią p. Henryk Bérenger, autor dzieł: *L'ame moderne*, *L'effort* i *l'Aristocratie Intellectuelle*. Pan Bérenger utrzymuje, że myśl kongresu religijnego jest logiczna sama przez się, albowiem *stulecie, które drutem elektrycznym połączyło Europę, Azyę, Amerykę i Oceanię, które postawiło księgi Wedy obok Iliady, a biblię porównało z koranem—stulecie, które w myśl ducha czasu zbliżyło ze sobą wszystkie religie—stulecie takie godnem jest aby wezwało kapłanów każdej nauki na sobór najwyższy. Ztamtąd dopiero spłyną na ludzkość wielkie słowa, które na podobieństwo słów Boga człowieka owładną światem. Strauss, Burnouf, Renan, niemniej jak Gibbon i Leon XIII, to wszystko narzędzia genjuszu, które upodobnią to wielkie marzenie.*

Mocne jest—wszak prawda? Pójdziemy dalej za panem Bérenger.

To że duchowieństwo francuskie na przykład odtrąca tę myśl wielką, nie powinno alarmować nikogo. To są łatwe do pojęcia obawy ludzi cofających się na ślepo przed falą przyszłości. Nie kto inny przecież tylko kapłani skazywali proroków i krzyżowali Chrystusa.

Bossuet w swoim czasie już rozmyślał o zjednoczeniu chrześcian i odwoływał się z tem do Lejbnitza, a gdyby Bossuet znał był buddaizm a i Koran nie był mu obcym, przekonani jesteśmy, że aniby się był zawahał konfrontować tych ksiąg z Ewangelią.

Kapłani Chrystusa! Możecie bez obawy wezwać przed ten trybunał bogów dawnych i dzisiejszych. Boski pielgrzym z Emaus nie potrzebuje się lękać pielgrzymów obcych. Każdy, który tam przybędzie, z góry można być pewnym że będzie chrześcijaninem i wszyscy razem zawołacie, że Chrystus zmartwychwstał powtórnie.

Nie wiadomo doprawdy, co tu podziwiać więcej! czy zupełne niezrozumienie tego, czem jest religja w życiu ludzkości, czy zatracenie całkowite najpierwszych pojęć, dotyczących kompetencyi we wszelkich sprawach wyższego czy niższego porządku, czy tę śmiałość nieporównaną, czy nieuctwo, czy wyrafinowaną obłudę nakoniec.

Bardzo charakterystyczną jest odpowiedź, dana kwestyonaryuszowi przez p. Gabryela Séailles, autora studyum o Erneście Renanie, pomieszczonego w jego „Szkicach biografii psychologicznej." W owej pracy rozbiera autor stan samowiedzy pokolenia obecnego i jego stosunek do idei religijnej. Szkice te uchodzą za arcydzieło bezstronności, a jednym z dowodów ma tu być ocena wpływów Renana na umysły współczesnych, na którą to ocenę zwracamy baczną uwagę czytelników, przez wzgląd na misyę, jaką temu Renanowi dzisiaj przeznacza p. Séailles w odpowiedzi, poniżej przytoczonej. Powiada on w tych szkicach wyraźnie i nie dwuznacznie bynajmniej, że wpływy Renana były ujemnej natury, że były druzgocące. Zobaczmyż co mówi dalej. Na zapytanie co trzyma p. Séailles o kongresie religijnym, taką odpowiedź odebrał kwestyonaryusz:

Pytacie mnie, co sądzę o kongresie religijnym, który projektujecie w Paryżu w roku 1900. Muszę zacząć od uwagi, iż nie jestem pewien, ażali wybór Paryża na to koncylium jest trafnym ze wszelkich względów. Paryż to miasto przedewszystkiem świeckie, a i Francya cała, poczynając od roku 1793 robi wszelkie wysiłki, aby wychowaniu i życiu zapewnić swobodny rozwój na zewnątrz wpływów rytualnych i dogmatycznych. Natomiast stara się Francya nieprzerwanie o zjednoczenie umysłów w duchu jednej wspólnej wiary... praktycznej (!!!). Francya wogóle żyje mniej w przeszłości niż w przyszłości i wśród wszystkich wstrząśnień—wpośród konwulsyj nawet swoich ma zawsze swoje wielkie przeczucia czegoś nowego, swoje marzenia o wielkiej sprawiedliwości. W tych przeczuciach i marzeniach, w tej chimerze, jeśli kto woli, leży oryginalność tego narodu i tajemnica wpływu, jaki wywiera.

Czego wolno nam się spodziewać po kongresie religijnym? zapytuje p. Séailles?

Przedewszystkiem robi uwagę p. S., iż uderzało go zawsze to, że dla wielu ludzi nawet naukowych religia ma ten powab właściwy sobie, który godzi się z nienawiściami wszelkiemi przy zupełnym spokoju sumienia.

Bardzo wiele razy zdarzało się p. Séailles w protestanckich Niemczech gorszyć, a niekiedy nawet rozśmiać z tej wielkiej nienawiści, jaką żywi protestantyzm do wszystkiego, co zwykł określać przez wyrażenie: zabobon katolicki. Jeżeli zgromadzicie wiernych wszystkich religij i wyznań — wszelkich sekt nawet, to oni niebawem przekonają się, że w każdem wyznaniu są ludzie podniosłego ducha, i że wszystko jest czystem dla dusz czystych. Nie należy jednak zapominać, że wszyscy ci właśnie nie będą potrzebowali, aby ich przekonywano o tych wielkich prawdach, o których wspominaliśmy powyżej.

Czegóż w takim razie spodziewać się możemy od tego wielkiego kongresu i pod jakiem hasłem odbyć się on powinien?

Mnie się wydaje, powiada p. Séailles, że nie pozostanie chyba, jak wyjść z wielkiej myśli Renana, który wyrzekł, że wszystkie religje są zarówno wielkie ale tylko w duchu.

Niestety, niema między nami Renana. On jeden godzien był objąć prezydyum kongresu, bo tylko on w dniach chwały swojej posiadał potrzebny dar widzenia rzeczy z najszerszego punktu zapatrywania, nie mówiąc, że pod względem elegancyi wysłowienia i wyprowadzenia wniosków właściwych, równego sobie nie miał ten człowiek.

Bądźcobądź zdaje się, że kongres jest potrzebnym, bo on tylko może złagodzić i uśpić nienawiści, płynące z przekonania o posiadaniu wyłącznej prawdy bezwzględnej.

— Ten jest bodaj najlepszy ze wszystkich. Renan, który pozostawił spustoszenia, jak sam powiada, Renan, który utrzymywał, że jedna religia warta drugiej, Renan niestety nie żyje dla tej sprawy, a nikt lepiej od niego nie nadawałby się na przewodniczącego temu koncylium. Nakoniec ta jego elegancya wysłowienia...

Tak, to wysłowienie eleganckie, przytoczone w tem miejscu i z tej okazyi jest nieocenione prawdziwie.

Konkluzye zebrane z całego kwestyonaryusza przez p. Victora Charbonnela są nie mniej wymowne, jak wszystkie pojedyńcze odpowiedzi. Ten znowu przyznaje, że duchowieństwo francuskie uroczyście zaprotestowało przeciw kongresowi, ale że taki drobiazg dla kongresu żadną przeszkodą być nie może. To i cóż z tego, powiada, że oponują się proboszcze i biskupi. Alboż my nie mamy duchowieństwa w naszych szkołach wolnych (!)? Właśnie oni jako ludzie niepodległej opinii będą do takiego zgromadzenia najodpowiedniejszymi. Mamy ze 300 listów takich duchownych nauczających w naszych kolegjach, którzy nam zadeklarowali swoje uczestnictwo.

Choćby na chwilę zachwiała się ta myśl, ona powróci, i ta sama idea apostolska, która zgromadziła parlament religijny (!) do Chicago, ta sama sprowadzi umysły szlachetne do Sorbony w roku 1900.

Ani się spostrzegają ci ludzie, że chcą sobie zebrać sobór jakiś z samych odstępców złożony.

I dlaczego ta profanacya cała, dlaczego to bezprzykładne wtargnięcie samozwańcze?

Przykro jest pomyśleć, że względy takie, jak zapewnienie powodzenia jakiejś wystawie, przemysłowej mogą popchnąć ludzi do spełniania podobnych szaleństw.

K.

Bale studenckie.

Pod tą nazwą zapowiadane bywają w naszych czasach bale w porze karnawałowej.

W leciutkiej pogawędce muskających się po wierzchu fali życiowej uprzywilejowanych wybrańców losu, ich satelitów i dworaków (że dosadniejsze wyrażenie pominiemy tutaj zupełnie), nazywa się festyn ten jednym z najsympatyczniejszych, a frekwencya jego obowiązkową niemal dla każdego tkliwszego serca, bo jużciż ta młodzież, która i t. d., i t. d., zasługuje przecież, abyśmy dla niej et caetera, et caetera.

Nie słuchaj czytelniczko wszystkich tego rodzaju tirad, odwróć się od nich, i wypełnij uszy bawełną, jeśli już inaczej nie możesz, a natomiast zechciej zastanowić się, i w głębi serca własnego poszukaj rozstrzygnięcia tego, co ci w prostocie i szczerości przekonań powiemy o tej specyalnie, i wszystkich innych spowinowaconych z nią uroczystościach.

Jako żywo nie ma nic sympatycznego w takim balu, nie ma żadnego obowiązku spieszenia tam, a to ze względu, że pomysł sam zaspakajania tą drogą potrzeb kształcącej się młodzieży dorosłej, jest więcej niż chybionym, że zasiłek zdobywany tą drogą jest nic nieznaczącą kroplą wody w porównaniu z oceanem naszych potrzeb aktualnych, a jedynym widocznym, dotykalnym rezultatem jest upowszechnienie zwyczaju, bagatelizującego wielki i święty obowiązek przychodzenia z pomocą ubóztwu dobijającemu się światła.

Na nic się też nie przydadzą gwoli upozorowania konieczności tej roboty deklamacye wszelkie, frazesy i nicowanie prawdy; metoda jest z gruntu wadliwa, naruszająca w wysokim stopniu poczucie godności tych, którzy z zasiłku korzystać mają, a charakterom niepodleglejszym uniemożebniająca wprost schylenie się po dar, który nietylko w niczem nie jest podobny do pomocy bratniej, ale wprost na bezceremonialną zchodzi jałmużnę.

To nie jest dług, jaki spłaca społeczność — to datek, i co gorsza — datek podany niezdarnie.

Kto pierwszy wprowadził u nas ten obyczaj niefortunny — niewiadomo. Jeśli myśl taka zrodziła się w głowie kobiety, wolno nam przypuszczać, że miała ona wcale nieszczególne pojęcie o tem, co mężczyznę od pierwszych chwil jego dojrzałości niewzruszenie obowiązuje.

Jeżeli to mężczyzna, świadomy trudności, z jakiemi walczyć musi ten, który nie ma czem opłacić wpisu, wpadł na pomysł zaradzenia tym brakom za pomocą balów publicznych, ośmielilibyśmy się twierdzić, że nie przyjmował ten człowiek nigdy udziału w życiu młodzieży akademickiej, nie ogrzewał się przy tych sercach, nie żył ich złudzeniami, a przedewszystkiem, że człowiek taki nie znalazł się nigdy między naturalnym, dobrym popędem swojego serca, a możnością zaofiarowania swoich usług uboższemu od siebie koledze. Gdyby miał takie wspomnienia z dni swojej młodości, gdyby sobie przypomniał, jak wyglądał wtedy on i ten drugi — jak się zmieniały role — jak ten, którego proszono o przyjęcie pomocy zasłaniał się najczęściej szlachetnem jakiem kłamstwem, a ten, który się dzielić chciał z uboższym, przyjąć musiał rolę proszącego — jak to wszystko razem było czyste i bezinteresowne z jednej i drugiej strony — gdyby sobie taki człowiek wszystko to uprzytomnił w pamięci, z największą pewnością myśl wykpienia się od takiego obowiązku przy pomocy balu z tańcami, do głowy by mu zawitać nie mogła.

Po wszystkie czasy była u nas młodzież potrzebująca pomocy; po wszystkie czasy podawano dłoń pomocną takim ustającym w trudzie, ale zgódźmy się na to, że to było podawane inaczej, a było inaczej dlatego, że podawali ci, którzy rozumieli ważność zadania i drażliwości niepodległego charakteru, który nie zna smutniejszej konieczności jak przyjęcie grosza z ręki, która nie jest ręką jego ojca.

Nie lekceważmy tego małego słówka „inaczej." To inaczej, to się nazywa — forma — a forma rozstrzyga o bardzo wielu sprawach i rozstrzygać będzie zawsze.

Można było przyjmować pomoc od takich jak byli swojego czasu: Śniadeccy, Staszyce, Bandkowie i tylu, tylu innych, którzy przyszli po nich, a których nazwiska ze czcią wspominają dzisiaj jeszcze żyjący ludzie starsi, ale nie zapominajmy, że temu aktowi towarzyszyło zawsze błogosławieństwo ojcowskie, wielka powaga dającego, i wielkie zaklęcie, wskazujące przyszłość całą obowiązku zawartego w tych kilku słowach: „Oddasz innym".

To „oddasz innym" bardzo dalekiem jest od tego czem przemawiają dzisiejsi organizatorowie balów studenckich — bardzo, bardzo dalekie.

A.

TO I OWO.

✱ Gazety duńskie donoszą o budującym się olbrzymim gmachu ze specyalnem przeznaczeniem. Budowla nosić będzie nazwę domu kobiecego i powstaje ze składek kobiecych. Wkłady są bardzo drobne; wynoszą tylko 40 centów od osoby i właśnie jako takie przekonać mogą, jakie kolosalne dzieło dokonanem być może, jeśli massy całe dołożą do niego ręki i dobrej woli. W domu kobiecym mieścić się będą pracownice zmuszone zadawalniać się małymi zarobkami, a więc szwaczki, modniarki, nauczycielki początkujące i te, które przyjeżdżając z prowincyi, szukają taniego przytułku. Gmach oprócz mieszkań będzie mieć czytelnię, sale gimnastyczne, łazienki i stałą wystawę robót kobiecych. Zdaje się, że warto pokusić się o naśladowanie tego przykładu.

✱ Bulletin Medical zawiadamia o sprowadzonej do miasta Rennes we Francyi epidemii gorączki tyfoidalnej, która wybuchnęła najprzód w miejscowym garnizonie wojskowym. Szczególne okoliczności jakie towarzyszyły ukazaniu się epidemii, zwróciły na siebie uwagę doktorów Groncher i Lannelongue, którzy udali się na miejsce dla wyprowadzenia skrupulatnego śledztwa. Ponieważ zachorowali najpierw porucznicy pułku artylleryi, zwrócono drobiazgowe dochodzenie co do ich zachowania się przed chorobą. Przekonano się ostatecznie, że wojskowi ci biesiadowali razem w jednej z miejscowych restauracyj i że do zamrożenia wina szampańskiego użyto lodu zawierającego w sobie zarazki tyfoidalne.

✱ W Szwajcaryi obchodzono w zeszłym tygodniu uroczystość Pestalozzego. Świętowała młodzież szkolna i nauczyciele. Obchodzono rocznicę odczytami i produkcyami wokalnemi.

✱ Z kopalni węgla w Morawii zawiadamiają o zaszłej tam pod datą 16 b. m. katastrofie. Z niewiadomych powodów wszczął się pożar, który zastał w podziemiu 17 robotników. Z tych 2-ch tylko zdołano uratować — pozostali znaleźli śmierć w płomieniach.

✱ Ślepota w Europie ma swoje strony uprzywilejowane, ale dlaczego grasuje w jednych krajach bardziej niż w innych, na to pytanie nie jest w możności nauka dać odpowiedzi pozytywnej. Faktem jest naprzykład, że w Rossyi i Portugalii na 10 tysięcy ludności przypada 20 ociemniałych, a znowu kraj najmniej nawiedzony przez to kalectwo, mianowicie Hollandya liczy na taką samą ludność zaledwie 4½ niewidomych. W ogóle w takim porządku idą państwa europejskie pod względem rozpowszechnienia ślepoty: Najprzód jak powiedzieliśmy Portugalia i Rossya, dalej Hiszpania, Norwegia, Węgry, Anglia, Niemcy (z wyjątkiem Prus), Francya, Prusy, Szwecya, Belgia, Austrya, Szwajcarya, Włochy, Dania, i nakoniec najszczęśliwsza pod tym względem Hollandya.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ: Korespondencya z Paryża o ubiorach. — St. Ariel: Ułudy, powieść współczesna (ciąg dalszy). — Odczyty. — Klemens Junosza: Przysięga pana Sylwestra, obrazek (ciąg dalszy). — Stuart Merill: Z Sonetów Wagnerowskich, Walkyrye, wiersz. — Byle handel szedł! — Bale studenckie. — To i owo.— Ogłoszenia. —W DODATKU POWIEŚCIOWYM: Marek Twain (Samuel L. Clemens): Wartogłowy Wilson, powieść, przekład z angielskiego (arkusz 4).

Дозволено Цензурою. Варшава 9 Января 1896 г. Druk Emila Skiwskiego, Warszawa. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.**